ARCHIWUM
Mirosława
Dereckiego

Mirosław Derecki

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (18) WŚRÓD PLASTYKÓW

Na początku 1957 r. zaczęło być głośno w środowisku lubelskim o mającym się wkrótce odbyć „Balu Młodej Inteligencji". Ów ekskluzywny „bal" zaplanowano na jedną z sobót lutego w Klubie Pracowników Kultury i Stowarzyszeń Twórczych przy Krakowskim Przedmieściu 32, a patronował mu działający już prawie od roku Klub Młodej Inteligencji. Na jego czele stała świeżo upieczona absolwentka historii sztuki, Krystyna Miernowska, córka znanego lubelskiego adwokata, przyjaciela poetów, malarzy i dziennikarzy - Józefa Czechowicza, Konrada Bielskiego, Zenona Kononowicza, Wacława Gralewskiego… Krysia - drobna, szczupła, ciemnowłosa, bardzo inteligentna - z tą domieszką kobiecej błyskotliwej złośliwości. Chodziła wtedy w czarnych sztruksowych spodniach-rurkach i trampkach. Szczególnie te trampki były kamieniem obrazy dla całej szacownej lubelskiej palestry.

Właściwie organizatorem „balu" była sekcja KMI, a mianowicie - prężne artystycznie i organizacyjnie Koło Młodych Plastyków. Koło to zawiązało się po zorganizowanej w lutym 1956 r. - przez Wojewódzką Radę Związków Zawodowych i Lubelski Oddział ZPAP - Wystawie Plastyków Amatorów i Nikifora. Objawiło się wówczas wielu utalentowanych młodych ludzi studiujących na lubelskich uczelniach lub już pracujących - Włodzimierz Borowski, Tytus Dzieduszycki, Ryszard Kiwerski, Mirosław Komendecki, Stanisław Michalczuk, Maria Urban, Józef Tarłowski, Przemysław Zwoliński, którzy postanowili nie zrywać raz już zadzierzgniętych kontaktów. Człowiekiem, który Koło Młodych Plastyków zorganizował i nadał mu właściwe przyspieszenie, był trochę starszy od swoich kolegów, obyty w bojach z administracją i już zarabiający samodzielnie na kawałek chleba, absolwent Wolnej Szkoły Malarstwa i Rysunku Janiny Miłosiowej - Przemysław Zwoliński. On też został jednogłośnie obwołany prezesem koła.

Przy KMP powstała także sekcja teoretyków i krytyków sztuki, z Jerzym Ludwińskim na czele, który pisał wprawdzie pracę magisterską na temat nagrobków renesansowych w kościołach lubelskich, ale naprawdę pociągała go sztuka nowoczesna. Było w tej sekcji pełno przystojnych i ekstrawagancko się noszących studentek historii sztuki, do których jeszcze dołączały aktualne „egerie" młodych plastyków oraz niedawno poślubione małżonki. Całe to

towarzystwo - plus etatowy przyjaciel i kumpel KMP, student prawa, Andrzej Zamorowski, późniejszy lubelski adwokat - przesiadywało gromadnie w klubie przy Krakowskim Przedmieściu. Z dziewczynami tańczyłem na sobotnich wieczorkach rock-and-rola, a najbardziej podobały mi się - śliczna, czarnowłosa i demonka Maria May, rozdokazywana, króciutko ostrzyżona i cięta w języku Anka Ptaszkowska, rudawa, „ognista" Jana Stasiakówna (flama Komendeckiego) i ciemnowłosa, o spokojnej, lecz pociągającej urodzie, żona Staszka Michalczuka, Hania.

Pozycja członków Koła Młodych Plastyków w klubie przy Krakowskim Przedmieściu umocniła się po zorganizowaniu tutaj, w czerwcu 1956 r., pierwszej wystawy, nazwanej - „warsztatową". Tworzyli młodzi plastycy głównie w przydzielonej im pracowni w Miejskim Domu Kultury na Zamku. Było to obszerne i bardzo wysokie pomieszczenie znajdujące się na drugim piętrze nad bramą wejściową, oświetlone dwoma wielkimi, okrągłymi oknami. Pękła tam niejedna butelka wódki, niejedna dziewczyna zapoznała się całkiem blisko ze sztuką, ale powstało tam także kilkadziesiąt obrazów, różnych od tych, jakie dotychczas oglądano w Lublinie.

Jeszcze dzisiaj widzę wyraźnie Włodzia Borowskiego, drobnego, jasnego blondyna, ostrzyżonego „z grzywką", jak stoi obok drewnianego podium dla modeli, w grubym, przypominającym dorożkarski fartuchu, i leje na zagruntowane płaszczyzny żółte i białe lakiery nitro.

Później, w lutym 1957 r,, w salach BWA przy ul. Narutowicza, na wielkiej, i bulwersującej Lublin drugiej wystawie Koła Młodych Plastyków, przeciwnicy informelu, taszyzmu i Włodzia Borowskiego wołali: „Wariat, jajecznice maluje". Patronowała wystawie bardzo gorąco Jadwiga Grossmanówna, ówczesny kierownik Wojewódzkiego Wydziału Kultury. Ona właśnie poparła prośbę młodych o udostępnienie im sali, co było nie w smak „starym" plastykom zrzeszanym w związku. A także wyłożyła z państwowej kiesy pieniądze na wydanie katalogu. Ta dziesięciostronicowa „składanka", obok spisu autorów i ich prac, zawierała szereg reprodukcji. Na pierwszej stronie zdjęcie „Kompozycji II" Jana Ziemskiego, który - od dawna członek ZPAP - wystawiał po raz pierwszy z młodymi plastykami, opowiadał się w ten sposób po stronie tej sztuki. Piętnastu twórców eksponowało 113 prac: olejów, grafik i rzeźb. Najwięcej, bo aż 33 - Józef Tarlowski, po dwie - Łucjan Ocias i fryzjer z zawodu, Stanisław Studa (do którego później wszyscy chodziliśmy się „towarzysko" strzyc).Wystawiali: Włodzimierz Borowski, Tytus Dzieduszycki, Jarewa, Ryszard Kiwerski, Mirosław Komendecki, Leszek Kosiński, Krzysztof Kurzątkowski, Jerzy Marek, Stanisław Michalczuk, Sadlej, Maksymilian Szoc i Jan Ziemski. „Jarewa" to był pseudonim młodziutkiej, patykowatej, uczesanej „na topielicę" Ewy Jaroszyńskiej, przyszłej gwiazdy

kabaretu „Sex”. Jako uczennicy liceum plastycznego, nie wolno było jej brać udziału w pozaszkolnych imprezach. Z podobnych powodów występował pod pseudonimem „Jerzy Marek”, student krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Jerzy Durakiewicz. „Sadlej” - to był pseudonim... Ale na ten temat - nieco później.

We wstępie do katalogu niepodpisany autor konstatował: „Grupa młodych plastyków nie posiada ściśle sprecyzowanego programu artystycznego. Jej geneza wiąże się z chęcią podjęcia walki przeciwko oficjalnie u nas uznawanej sztuce akademickiej: przede wszystkim XIX-wiecznemu naturalizmowi i postimpresjonizmowi. Ogólną tendencją jest dążenie do nowoczesności, rozumianej, jako bardzo duża różnorodność postaw artystycznych. Młodzi plastycy korzystają z doświadczeń różnych kierunków: kubizmu, abstrakcjonizmu, nadrealizmu, taszyzmu itp. Na tej podstawie próbują oni wypracować swoje własne widzenie świata i rzeczywistości”.

Pamiętam doskonale tę wystawę, która narobiła tyle zamętu w lubelskim środowisku, a z której uczestników miała się wkrótce wyłonić Grupa „Zamek”, aby przejść następnie z wymiaru lubelskiego w wymiar ogólnopolski i nawet dalej... W sali BWA na prawo od wejścia, (przy którym stał stoliczek, a na nim księga pamiątkowa zapełniona gęsto inwektywami, pochwałami i pogróżkami) wisiały obrazy Tytusa Dzieduszyckiego m.in. „Cienie” oraz ten, który autor nazwał, zdaje się „Porankiem”, a my ochrzciliśmy mianem: „Tytus pijany”. W głębi, na przeciwległej ścianie, w prawym kącie, zawieszono „taszyzmy” Borowskiego, w centrum - kubizujące płótna Sadleja, na lewo od nich „Kompozycje” Ziemskiego. Na lewej ścianie dominowały surrealistyczne obrazy Mirosława Komendeckiego, ze „Snem pijanej praczki” na czele…

Tak oto wyglądała sytuacja w artystycznym Lublinie w przededniu karnawałowego szaleństwa. Doszły mnie słuchy, że zapisy na bal prowadzą „Majki”. W pewne mroźne i śnieżne przedpołudnie wybrałem się więc pod bramę - nie istniejącą już dzisiaj - Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i zasadziłem na schodach w oczekiwaniu na dwie najbardziej nietypowe dziewczyny w mieście.

Majka May i Anka Ptaszkowska stanowiły nierozłączna parę. Studiowały na tym samym roku historie sztuki i mieszkały we wspólnym pokoiku akademickim w drewnianym poniemieckim baraku, ukrytym za wysokim murem po lewej stronie budynku uniwersytetu. „Majki” - to było określenie stosowane przez kolegów i przyjaciół. Inni studenci mówili o nich często „te wariatki”. Majka i Anka ubierały się, bowiem w sposób - jak na Lublin - szokujący. Obydwie - warszawianki - propagowały niekonwencjonalną modę. Pierwsze w Lublinie pojawiły się w kożuchach, kretonowych (zimą) spódnicach, trykotowych rock-and-rollowych bluzkach, czarnych „trumniakach” na nogach. A przede wszystkim: w kolorowych

pończochach! Czerwone lub zielone pończochy - to było dla Lublina połowy lat pięćdziesiątych stanowczo zbyt wiele! Niknęły przy tym nawet „obrazoburcze” trampki Krystyny Mierowskiej. W tym duecie przewodziła Anka ona też później miała wypłynąć na wody krytyki. Majka - spokojna, bardziej skupiona w sobie, nie tak egotyczna jak Anka - była sympatyczniejsza w relacjach koleżeńskich. Ją więc właśnie zaczepiłem na schodach KUL-u z pytaniem o Bal Młodej Inteligencji:

„To ty nie wiesz? - Zdziwiła się - Zapisy przyjmuje Sadlej…”Aha - powiedziałem, jakby już wszystko było jasne. - Aleee... kto to jest Sadlej?” „NIE WIESZ Nie wiesz, kto to jest SADLEJ?! Jego WSZYSCY znają!!!”

No tak: popełniłem straszną gafę - nie znałem prezesa Koła Młodych Plastyków, człowieka, w którym, na dodatek Majka była zakochana! Od takiego oto niezręcznego incydentu zaczęła się moja trzydziestoletnia blisko przyjaźń z „Sadlejem”, czyli Przemkiem Zwolińskim. Czyli - „Szefem”.

„Starzy” i „młodzi” plastycy to były dwa światy. Nie zawsze zresztą, koniecznie - skłócone. Ale - inne. Młodzi jednych akceptowali i lubili, innych nie cierpieli, innych jeszcze - po prostu nie dostrzegali. Lubiono na przykład Wiktora Ziółkowskiego, „opiekuna” KMP z ramienia związku plastyków. Podziwiano Zenona Kononowicza, artystę i niekonwencjonalnego człowieka, który swoim sposobem bycia wydawał się jakoś bardzo bliski „młodym”, „zbuntowanym”, „nieprzystosowanym”.

Kononowicz całymi miesiącami przesiadywał w Kazimierzu nad Wisłą, gdzie miał swoja pracownię. Latem malował od szóstej rano, a stojąc już przy sztalugach, udawał, że nie dostrzega znajomych, nie odkłaniał się, odwracał głowę: nie znosił, kiedy ktoś gapił mu się na ręce. W lecie paradował po ulicy w swoich charakterystycznych „sandałach” zrobionych z tenisówek, w których wycinał otwory, obwodząc brzegi żółtą farbą. Zimą, idąc „na plener” w Kazimierzu, Kononowicz przypinał narty, brał do jednej ręki kasetą z farbami i sztalugi, do drugiej - wiadro z węglem i wiązką drewna. Gdzieś tam ukryty wśród kazimierskich wzgórz i wąwozów, rozpalał ognisko i przy jego ogniu grzał się i malował,

Władysław Filipiak zjeżdżał do Kazimierza głównie na lato. Malował i pływał po Wiśle zbudowaną własnoręcznie żaglówką „Baba Jaga”, a mieszkał w dwóch niewielkich pokoikach w willi Pruszkowskiego. Sytuacja Filipiaka kojarzyła się „młodym” z ustabilizowaną i „pieniężną” pozycją, i pewnie, dlatego obydwie strony obwąchiwały się przez wiele lat raczej nieufnie.

Natomiast nieustającą sympatią darzony był inny lubelski plastyk, przedstawiciel średniego pokolenia, Stanisław Skiba. Stasio Skiba zresztą całymi długimi okresami nie malował. Zdarzało się to wówczas, kiedy nachodziła go kolejna fala namiętności do Prousta.

Siedział wtedy, dzień w dzień, od rana przy stoliku pod piecem w największej sali kawiarni „Regionalna”, czytał „W poszukiwaniu utraconego czasu”, ciągnął ze szklanki chude piwo – „mocz wielbłądzi” - i wzdychał: „Co za geniusz! CO ZA GENIUSZ”. Kiedy już mu zupełnie brakowało pieniędzy, rzucał piwo, Prousta i kawiarnie i maszerował piechotą trzydzieści kilometrów, aż pod Łęczną. Tam jego ojciec miał duże gospodarstwo i Stasio przechodził na wsi „kurację odżywiająca” – na teraz i na zapas. Co pewien czas znajomych obiegała widomość: „Skiba znowu maluje” Na ogół okazywała się ona bezpodstawną plotką.

Na pograniczu „młodych” i „starych” jawiła się postać Ziemskiego. „Jasio” Ziemski był znacznie starszy od swych towarzyszy z Koła Młodych Plastyków, a następnie – Grupy „Zamek”. Od dawna należał do ZPAP. Obarczony był drugą już z kolei żona oraz gromadką dzieci, z którymi mieszkał w rodzinnym, drewnianym domu z dużym ogrodem, na ówczesnych peryferiach Lublina - w dzielnicy Dziesiąta, przy ulicy Słowackiego. Jasio uczęszczał do gimnazjum im. Zamojskiego jeszcze przed wojną, po wyzwoleniu zapisał się na medycynę, ale nie zabawił na niej długo. W okresie PKWN był kierownikiem kawiarni plastyków przy Krakowskim Przedmieściu. Poza tym miał Jasio pasje muzyczne. Jeden z przyszłych filarów Grupy „Zamek”, artysta, którego abstrakcyjne dzieła są w posiadaniu Muzeum Guggenheima. W Nowym Jorku, wprawiał się przez pewien czas w grze na perkusji oraz na saksofonie tenorowym. Ale to było na długo przed tym, zanim „wybuchła” w Lublinie młoda sztuka. Obecnie Jasio oddawał się hodowaniu kaktusów, zaś czas wolny od hodowania i tworzenia spędzał w „Regionalnej”, w gronie przystojnych, najchętniej - pulchnych, dziewcząt. Błyskał uwodzicielsko szklarni wielkich okularów w rogowej oprawie, sypał wokoło dowcipami, pointując, co celniejsze powiedzonka swym charakterystycznym, przeciągłym: „Cook? Cooo?!” Chłodny, „matematyczny” mimo żartów i uśmiechów, zawsze zdystansowany do świata…

Zupełnym przeciwstawieniem Ziemskiego był Włodek Borowski: raczej zamknięty w sobie, przepełniony problemami, fobiami i kompleksami, pełen jakiegoś nieokreślonego „biologizmu”. Zapamiętałem go najlepiej z zimnego listopadowego popołudnia 1956 r., stał wtedy razem z Anką Ptaszkowska na chodniku przed hotelom „Europa”, z tekturowym pudełkiem-skarbonką i biało-czerwono-zieloną chorągiewką w dłoni, i swoim trochę cienkim głosem wołał: „Na braci Wągrów! Na braci Węgrów!”

Jedną z najbardziej dziwnych postaci w środowisku „młodych” był malarz-surrealista Mirosław Komendencki. Z wyglądu przypominał prowincjonalnego, nauczyciela lub przedwojennego magistrackiego urzędnika. Ale w jego szczupłym i drobnym ciele, tyle że zwieńczonym kępa rozwichrzonych włosów, tkwiła natura nieposkromiona, wyobraźnia nieopanowana i dusza - nieokiełznana. Z wykształcenia historyk sztuki, miał mnóstwo

wiadomości z zupełnie różnych dziedzin. Przy malarskich, posiadał niezaprzeczalne zdolności literackie i drukował nawet przez jakiś czas twoje prozatorskie miniatury na łamach „Kameny”. Po ukończeniu studiów związał się najpierw z Miejskim Domem Kultury na Zamku, ale długo na etacie instruktora wychowania plastycznego nie wytrzymał. Został... świeckim katechetą w szkole. Co było tym ciekawsze że sam był ateistą? No, a poza tym, jego sposób nauczania katechizmu był, co najmniej oryginalny.. . Nie chodzi już o to, że zamiast trzymać dzieci w klasie, wyprowadzał je na zajęcia „plenerowe”. Na pola lub do lasu, na zbieranie grzybów. Ostatecznie wiedzę można zgłębiać wszędzie. Ale ten sposób sprawdzania żądanego materiału! Pytał na przykład Komendancką ucznia: „Jakie są główne prawdy wiary?” Jeżeli chłopak nie wiedział, mógł się jeszcze uratować pytaniem „pomocniczym”: „A kto jest aktualnym mistrzem Polski w boksie, w wadze średniej?” Kiedy i tu nie było właściwej odpowiedzi, nauczyciel stawiał bezapelacyjną dwóję. „Można się - mawiał przy tym - nie interesować religia, można się nie interesować sztuką, ale jeżeli kogoś nawet SPORT nie interesuje, to pozostanie on idiotą i matołem na wieki wieków. Dlatego powiedz ojcu, że dostałeś dwóję nie za brak wiadomości, ale za brak przejawów ciekawości otaczającym światem!” Później Mirek zdecydował się na podjęcie pracy nauczyciela i kierownika szkolnej biblioteki w gimnazjum w Józefowie Biłgorajskim, który w owych latach był zabitą na głucho deskami prowincją. Nie wiem, jak tam się sprawdzały jego poglądy na nauczanie; fakt, że po pewnym czasie przeniósł się do Gdańska i tam chyba do dzisiaj pracuje w jednym z muzeów.

Wreszcie: Tytus. Tytusa Dzieduszyckiego spotykałem chyba najczęściej, bo mieszkał on w pobliżu Miasteczka Uniwersyteckiego, do którego wiodły moje codzienne drogi, w willi stojącej u zbiegu ulic Nowotki i Uniwersyteckiej, a zwanej popularnie „domem generałowej”. Tam właśnie jeden z sublokatorów, pan Józef Tuszowski, dawny właściciel majątku pod Hrubieszowem, były oficer 2 Pułku Strzelców Konnych, a potem instruktor rolny oraz nieformalny lubelski opiekun Tytusa, w którym widział jakby syna, odstępował swemu podopiecznemu kąt za zabytkową rozłożystą simmlerowską kanapą, w swym wypełnionym antykami i książkami pokoju.

Tytus miał te wszystkie cechy, które z młodego człowieka czynią doskonałego kolegę, sympatycznego kompana w towarzystwie, atrakcyjnego dla kobiet mężczyznę. Przystojny, wysportowany, doskonale wychowany, na swój sposób także - elegancki. Przyrodnik z wykształcenia, czuł Tytus powołanie do malarstwa i do poezji. Lubiliśmy się wzajemnie i to uczucie koleżeństwa pogłębiło się w okresie, kiedy występowaliśmy przez pewien czas razem w kabarecie „Sex”, ale nigdy nie przerodziło się w przyjaźń. W każdym razie, jeszcze dzisiaj, po tylu latach, Tytus jawi mi się, jako ktoś, z kim byłem zżyty jak bardzo bliski znajomy…

Tytus jeden z pierwszych opuścił środowisko lubelskie: w niedługi czas po powstaniu wiosną 1957 r. Grupy „Zamek”, i jej pierwszej wystawie w Klubie Krzywego Koła w Warszawie, przeniósł się do stolicy, gdzie na Saskiej Kępie mieszkali jego rodzice. Później, po skończeniu studiów wróciły do Warszawy Anka Ptaszkowska i Majka May; zaczął krążyć miedzy stolicą a Lublinem teoretyk grupy Jerzy Ludwiński. I w ten sposób „Zamek” rozciągnął się jakby między Lublinem a Warszawą. A jeszcze trochę później Tytus Dzieduszycki wyjechał do Paryża. Tymczasem w Lublinie szykował się kolejny „plastyczny” ewenement: integralny, skierowany ku nowoczesnej sztuce dział „Kameny” pod nazwą „Struktury”…

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 24, s. 6.